Nr. 20. Kraków, 20. grudnia 1903. Rok I.

NOWY KOLEJARZ




ORGAN GALICYJSKICH KOLEJARZY
WYCHODZI 5. I 20. KAŻDEGO MIESIĄCA

Adres redakcyi i administracyi: Kraków, ulica Szpitalna l. 17, parter.

Prenumerata roczna 6 K, półroczna 3 K, kwartalna 1 K 50 h. Pojedynczy numer 30 halerzy.

Pojedyncze numera można nabywać w Krakowie w administracyi „Nowego Kolejarza“ i w agencyi dzienników Wnej Salomonowej, Plac Maryacki. Cena ogłoszeń według specyalnej umowy.

WYDAWCA I ODPOWIEDZIALNY REDAKTOR WIKTOR BACHOWSKI.

C. k. Sąd krajowy jako prasowy na wniosek c. k. prokuratora państwa po myśli § 493 p. k. orzekł, że zamieszczony w Nrze 19 czasopisma „Nowy Kolejarz“ z dnia 5. grudnia 1903 artykuł pod tytułem: „Tytuł skonfiskowany — dokończenie“ od „z pomocą konduktora Górskiego“ do końca. str. 2 zawiera znamiona występku z §§ 300. 491, 492 u. k. i art. V ustawy z 17. grudnia 1862 Nr. 8/63 Dz. p. p., że zakazuje się rozszerzania tego artykułu, zatwierdza się zarządzoną przez c. k. prokuratoryę państwa konfiskatę pomienionego Nru, a cały nakład tegoż ma być zniszczonym. albowiem w artykule tym autor przez łżenie, wyszydzanie i niezgodne z prawdą przedstawianie stara się poniżyć w powadze orzeczenia c. k. Dyrekcyi kolei państwowych w Krakowie w sprawie konduktora Kowalika wydane, oraz w tenże sam sposób stara się pobudzić do pogardy i nienawiści przeciw tej władzy tudzież poszczególnych jej urzędników o pogardliwe przymioty i takiż sposób myślenia obwinia. Równocześnie na wniosek c k. prokuratoryi państwa stosownie do przepisu Nr. 20 ust. pras. poleca się Redakcyi czasopisma „Nowy Kolejarz“, aby uchwałę tę w najbliższym numerze czasopisma na pierwszej stronie tegoż pod rygorem skutków z § 21 ust. pras. bezpłatnie zamieściła.

C. k. Sąd krajowy jako prasowy S. III. Kraków dnia 8. grudnia 1903.
Pogorzelski.

Od Wydawnictwa.

Z dzisiejszym numerem kończymy rok pierwszy wydawnictwa, rozpoczętego w najtrudniejszych może warunkach, w jakich wydawnictwo jakieś kiedykolwiek znaleźć się mogło. Można powiedzieć, że stworzyliśmy rzecz z niczego, bo skrzywdzeni w brutalny sposób moralnie i fizycznie przez tych, u których frazesy o bezwzględnej sprawiedliwości z ust nie schodzą, znaleźliśmy się na miejskim bruku bez grosza w dosłownem znaczeniu tego wyrazu. Pierwotny nasz dorobek stanowiła ofiarność kilkudziesięciu najbiedniejszych kolejarzy, oburzonych obłudą i brutalnością okrutników, których gospodarce przypatrywano się zbliska przez czas dłuższy. Tym to ludziom pismo nasze zawdzięcza swoje początki, a dalsze istnienie przyjaciołom z całej Galicyi, których wartość intelektualna równoważyła liczebność zaślepieńców, dyszących przeciw nam sztuczną oszczerstwami rozdmuchaną nienawiścią. Z tą wiarą w powodzenie, z jaką rozpoczęliśmy numer pierwszy, oddajemy czytelnikom ostatni, dwudziesty! numer tegoroczny, tryumfując nad tymi, którzy, wytrącając nam podstępnie pióro z ręki, radowali się naszem rozbrojeniem, a gdy ku ich przerażeniu pismo nasze zaczęło wychodzić, przepowiadali mu upadek już po sześciu numerach, którzy, w nadziei naszego upadku, nadużyli naszej dobrej wiary i wiarołomnie wyłudzili od nas zawieszenie naszego »mizernego świstka«, którzy najbezmyślniej kompromitowali się szerzeniem potwornych, niedorzecznych oszczerstw, którym zadawało kłam nasze *„par excelence“* opozycyjne stanowisko.

Poważnych nieprzyjaciół mieliśmy przed sobą, wyszczerzających ku nam zęby, bo obok łabai, austryackiego cenzora i dyrekcyi znaleźliśmy czarnych i czerwonych jezuitów, pryskających ku nam jadem straszliwej nienawiści z ambony i z publicznej mownicy. Byliśmy opozycyą w opozycyi, a ofiarność naszych zwolenników i wielkość naszych nakładów jest miarą wielkości błędów, jakich dopuszczali się samozwańczy organizatorzy kolejarzy.

Dzisiaj najmniej obawiamy się porażki, albowiem zastępy nasze wzrastają stale, walkę zaś prowadzimy nie z organizacyą, ale z korupcyą w tej organizacyi i teroryzmem zdeprawowanych jednostek identyfikujących się z organizacyą, wobec czego przyczyniliśmy się do założenia organizacyi krajowej, która zresztą ze względu na nieunikniony federacyjny ustrój przyszłej Austryi, jest najodpowiedniejszą formą organizacyjną dla kolejarzy. Ostatecznie takie same tendencye spostrzegamy i na innych polach życia społecznego, wytyczające sobie szlaki do budowy przyszłej demokratycznej federacyi. Zresztą pomówimy o tem wyczerpująco przy innej sposobności, z uwzględnieniem galicyjskiego kolejnictwa, naszego geograficznego położenia, stosunków etnograficznych i wyjątkowych okoliczności, które z natury rzeczy przemawiają za taką formą organizacyjną, zwłaszcza nie z własnej winy znalazłszy się w przymusowem położeniu zrzec się dalszej opieki nieprzyzwoitych hegemonów.

W miarę poczytności naszego pisma wzrastają także i wymogi, którym niestety ze względu na szczupłość miejsca, nie zawsze byliśmy w możności zadosyć uczynić.

Stosunki nasze do odbiorców naszego pisma, zostały w ten sposób uregulowane, że dla większej części

panów prenumeratorów, abonament kończy się z ostatnim dniem grudnia, tak, że z nowym rokiem zachodzi potrzeba odnowienia prenumeraty. Ze względu przeto na zamierzone rozszerzenie naszego wydawnictwa, upraszamy o rychłe odnowienie przedpłaty i darzenie nas dalszem zaufaniem i ożywioną korespondencyą, którą ze względu na drugiego *Kolejarza* w Krakowie i uniknięcie pomyłki, upraszamy wysyłać pod osobistym naszym adresem. *Redakcya.*

„Geszeft" czy idea?

Swojego czasu zdecydowaliśmy się raczej wodą popijać suchy kawałek chleba, aniżeli, pisząc po 4 centy od wiersza, zarabiać do 150 guldenów miesięcznie, w warunkach ubliżających naszej godności osobistej. Czy postępek taki był interesem, czy też obowiązkiem honoru niechaj rozstrzygają bezstronni wobec potwarzy naszych wrogów, rozsiewanych sposobem nieuchwytnym przez kodeks karny, jakoby pismo nasze wychodziło nakładem władz kolejowych? My nie zarzucamy tego samego stronie przeciwnej, chociaż ktokolwiek tylko weźmie nasze pismo do rąk i porówna je z *Kolejarzem* Kurowskiego, ten niezawodnie po tamtej stronie dopatrzy się śladów prawdopodobieństwa takich zarzutów, o czem zresztą kolejarze między sobą bardzo głośno rozprawiają, bo w samej rzeczy w ostatnich czasach zaszły fakta, które podejrzenia takie usprawiedliwiają, a nadto organ Kurowskiego nieraz już przemawiał wstrętnym językiem gadzinowca, oszczercy i oszusta, co mu bynajmniej nie przeszkadzało nazywać siebie: »uczciwem pismem opozycyjnem«, gdyby kalumnie, ohydne łgarstwa i *„lapsusy"*, mające pretensye do morderczych argumentów fachowych, nie rozśmieszały tych, których niby dosięgnąć chciały i nie protestowały przeciwko takiemu samochwalstwu i adoracyi samego siebie.

Inaczej też być nie może, a baczna obserwacya przekonała nas, że cała ta tak zwana organizacya po prostu jest tylko geszeftem, podlanym na wabika i dla smaku sosem socyalno-demokratycznych zasad, w gruncie zaś rzeczy jest ona inkasem co najmniej $^1/_4$ miliona K rocznie, które po opłaceniu kosztów ten interes dobrze reklamujących gazet, sposobem wysokich gaży, dyet i remuneracyj dzieli się między pięciu albo dziesięciu jednych i tych samych wspólników, do których w Galicyi nasz nieoceniony Kurowski należy.

Przed rokiem, gdy opanowany szałem wielkości, Kurowski łudził siebie i swych przyjaciół, że jest bożyszczem kolejarzy, odgrażał się co chwila, że wszystko rzuci w dyabły, a kolejarzy zostawi na pastwę dyrekcyi kolejowych poskromionych rzekomo przez niego do tego stopnia, że ułaskawione bestye u nóg jego jak baranki leżały, nie będąc zdolnemi do wyrządzenia krzywdy nikomu. Że pogróżki Kurowskiego były nieszczere, a wyłączną pobudką do pełnego chwały sekretarzowania była tłusta posada w organizacyi, dowodzą wszystkie dotychczasowe zajścia i hańbiące kopniaki. mimo których mąż ten kolejarzy nie tylko że nie chce się odczepić, ale pozostaje *„incognito"* na dawnem stanowisku wbrew uchwale konferencyi przemyskiej z dnia 6 września b. r., postanawiającej sromotne wyrzucenie Kurowskiego z organizacyi, z wykluczeniem używania go nawet za urzędnika manipulacyjnego. Kolejarzy w Galicyi może sobie jednak lekceważyć nawet taki Kurowski, który, zaofiarowawszy swej bezczelności prawdziwe serdeczne współczucie, otarł miedziane czoło i na złość kolejarzom pozostał w ich organizacyi, aby dzieła zniszczenia dokonać w zupełności.

Gdybyśmy byli nieszczerzy, to z pobudek konkurencyjnych zamilczelibyśmy nawet o pozostawaniu Kurowskiego w tem stowarzyszeniu, gdyż niema drugiego człowieka w świecie, któryby tak skutecznie wszystko rozbijał, jak ów mąż opatrznościowy. Jednakowoż od lat będąc kronikarzem ruchu kolejarskiego, ze względu na wierność sytuacyi, szczegółu tego nie możemy pominąć samolubnem milczeniem.

Z wielkiej przeto miłości do kolejarzy Kurowski nie chce się rozstać ze swem stanowiskiem, chociaż w gronie przyjaciół i wraz z nimi wyraża się o kolejarzach jak o wyrzutkach społeczeństwa i strasznej hołocie, a tylko korony kolejarskie cieszą się jego szacunkiem i dobrotliwem uznaniem.

Nie trudno więc osądzić, co Kurowskiego wiąże z kolejarzami, czy ich przykre nad wyraz położenie, czy też ich korony wkładkowe w znacznej części będące źródłem jego utrzymania?

Prócz »zuchwałej odwagi» wypowiadania publicznie swego zdania przez wydawnictwo i redagowanie *Nowego Kolejarza,* obok kartelowego organu Kurowskiego, przyjaciele tegoż, właściwie nic nie mają nam do zarzucenia, to samo jednak jest już powodem do irytacyi, przyprawiających owych panów o chorobliwe napady, które potęgują się do szaleństwa, gdy demaskujemy ich rzekomą pruderyę, jako rozwiozłą, niedyskretnie podkasaną, dziewiczej świeżości pozbawioną goliznę. Że po prostu wiara w ich czystość i niewinność, należy do przeszłości, bo i dlaczego właściwie mamy wierzyć tym ludziom i jaką gwarancyą moralną zapewnić oni mogą powodzeniu tej sprawy, w imię której, wzywano nas do organizacyi?

Czy dlatego, że Bebericz ich, a oni Bebericza zjeździli od szubrawca, złodzieja i sukinsyna, i że jedni i drudzy wypowiedzieli sobie tyle prawdy, że zatkawszy sobie uszy, czemprędzej trzeba uciekać z tego miłego towarzystwa?

Czy dlatego, że tak dużo rozprawia się o honorze, odgrażając się na prawo i lewo sądem i kryminałem. Poważne jednak zarzuty, chowa się do kieszeni, odpowiadając półgębkiem, »z głupia frant, że nie warto włóczyć się po sądach. Kurowski zaskarżył takiego biedaka jak Wolny, ignoranta, nie mającego pojęcia o odpowiedzialności karnej, powtarzającego w tajemnicy do ucha jakiemuś szwabowi, krążące o Kurowskim pogłoski o przekupstwie, nie dającem się udowodnić. Ten sam »wielce honorowy» Kurowski, nie zaskarżył jednak, ani redakcyi *Nowego Kolejarza,* ani nadkonduktora Pełechowicza, czyniących mu publicznie wobec tysięcy świadków, zarzuty niehonorowych postępków. A przecież schrupać takiego Pełechowicza, albo Bachowskiego, należałoby do najprzyjemniejszych rzeczy. Nie zaskarżono ich jednak! dlaczego?

Czy dlatego, że w administracyi galicyjskiego sekretaryatu, wykazaliśmy cyfrowe różnice tysiące koron wynoszące, a w grupach miejscowych, brudniejsze kradzieże, aniżeli w klerykalnych towarzystwach, czy dlatego mamy się trzymać rękami i nogami takiej organizacyi, w której po wykryciu tych brudów, odmawia się uporczywie wszelkiej naprawy stosunków, pokrywając je gołosłownemi zaprzeczeniami?

Czy dlatego, że w egzekutywie i sekretaryacie niema ani jednego prawdziwego kolejarza, znającego się na wykonawczej (!) służbie kolejowej?

Czy dlatego, że postanowienia statutów bywają gwałcone, że się proteguje głupców, idyotów i lizunów takiego Kurowskiego, a co mądrzejszych wyzbywa się z organizacyi, albo uprzyjemnia im się uczestnictwo do tego stopnia, że sami czemprędzej uciekają, jeżeli się ich nie wyrzuca gwałtem za pomocą nieczłonków, jak to uczyniono z Pełechowiczem, za prawdo-

mowność, tak gorąco zresztą na zgromadzeniach publicznych zalecaną?

Czy dlatego, że dla skrytobójczych morderstw moralnych, wynajmuje się złoczyńców, z poleceniem czatowania na cześć uczciwych ludzi, jak to miało miejsce z nadkonduktorem Pełechowiczem, na którym moralnego mordu dokonać usiłowano? Czy dla tych pobieżnie tylko w małej cząstce wyliczonych pobudek, ma się darzyć zaufaniem tych ludzi?

Pozostaniemy nieodstępnym ich wyrzutem sumienia, prześladującym ich na każdym kroku, niedopuszczającym do słowa w sprawach moralności i obyczajności publicznej, przypominając im, że ludziom z taką konduitą, raczej milczeć przystoi; Będziemy im zawsze przypominać słowa Pełechowicza, wypowiedziane publicznie: »że jeżeli organizacya jest powołaną do wyczyszczenia wszelkich nadużyć i świństw w zarządach kolejowych zagnieżdżonych, to w pierwszej linii sama musi być wolną od tych zarzutów i obowiązkiem jest każdego dobrego i celu świadomego członka, stać na straży tej czystości.

„Justizmord“.

(Nadużycie władzy sędziowskiej w celu morderstwa).

Mimo całego uwielbienia i przywiązania do macierzystego polskiego języka, użyliśmy w napisie wyrazu zaczerpniętego z niemieckiego słownictwa, a względnie złożonego wyrazu łacińsko-niemieckiego, tworzącego pewne pojęcie prawnicze, nie dające się wiernie spolszczyć w jednem słowie, bez utraty subtelności tem określeniem nazwanego pojęcia. »Justizmord« oznacza tyle, co morderstwo dokonane świadomie na niewinnym człowieku, przez zasądzenie go na karę śmierci, według wszelkich reguł i przepisów obowiązującej procedury sądowniczej. »Justizmord», jest najbardziej zbliżonym do najemnego morderstwa, dokonywanym zaś bywa przez ludzi, którym wykonywanie władzy sądowniczej powierzono, trzeba go zaś odróżnić od «pomyłki sprawiedliwości», gdzie zasądzenie niewinnego, dokonanem zostało z głębokiem przeświadczeniem o jego karygodności, gdy zaś w istocie rzeczy tylko zbieg okoliczności i poszlaki w błąd sędziów wprowadziły. Po polsku nazwaliśmy przeto »Justizmord«: «nadużyciem władzy sędziowskiej, w celach mordu niewinnych ludzi«.

Krakowska izba dyscyplinarna, wraz z samodzierżcą wszechwładzy dyscyplinarnej dyrektorem Horoszkiewiczem, jest areną, na której dokonują się takie mordy dzień po dniu. Ofiar dostarcza konował dr. Zoll, mordów zaś dokonują wotanci »łabaje« i przez ministerstwo mianowani wotanci ze sfer złotokołnierzowych przeważnie. Najlepszą zaś reputacyą, między tą bandą zbirów, cieszy się rewident Henryk Moskwa, który jeszcze nigdy nie głosował za uwolnieniem obwinionego i zawsze najwyższy wymiar kary dyktuje. Moskwa, jest to ten sam miły ptasznik, który będąc pastuszkiem wiejskim, miał pisklętom wykluwać oczy, dzisiaj jest członkiem trybunału, mordującego niewinnych ludzi. Z ostatnich dwóch numerów, czytelnicy mają dokładny obraz, jak postąpiła sobie dyrekcya krakowska z Kowalikiem. Izba dyscyplinarna po 9-letniej służbie dekretowej, skazała go na wydalenie, dlatego, że jako chory, służby nie pełnił, a zgłosiwszy się do służby z powodu choroby, jako niezdolny został przez naczelnika w Podgórzu do domu odesłany.

Że Kowalik nie był symulantem, to oprócz czterech niezawisłych powag lekarskich zeszłym razem wyszczególnionych, istnienie ciężkiej nieuleczalnej choroby stwierdza sam Sąd rozjemczy dla zakładu ubezpieczeń od wypadków, którego przecież o sympatye dla Kowalika nie można pomówić, jeżeli tenże sąd mimo stwierdzenia choroby, wypłaty renty mu odmówił, dlatego że choroqa Kowalika rzekomo nie stoi w żadnym związku z wypadkiem mającym miejsce dnia 7. sierpnia 1902 r. Oświęcimie. Kowalik przeto stanowczo jest chorym, a cóż wy na to banarcty Piórko i Zollu? i co pan na to »nieomylny« profesorze Domański? i co wy na to rabusie dyscyplinarni którzy razem z konduktorem Górskim nieuleczalnie chorego człowieka zasądziliście na wypędzenie z kolei. Odnośne orzeczenie sądu rozjemczego stwierdza nieuleczalną chorobę, czyniącą Kowalika niezdolnym do służby kolejowej i wogóle niezdolnym do zarobkowania. Rozważcie więc czytelnicy owo dosłowne orzeczenie, które nadto zawiera przypuszczenie że choroba z każdym dniem będzie się rozszerzać i powolne zamarcie następować. A więc Sąd rozjemczy wystawia Kowalikowi jeszcze dalej idące świadectwo istnienia i nieuleczalności tej choroby, aniżeli wszyscy lekarze. A przecież sąd rozjemczy wydał to orzeczenie na podstawie badań lekarzy zawisłych od zakładu ubezpieczeń od wypadków a pośrednio zawisłych od dyrekcyj kolejowych? Czy rozumiecie więc teraz czytelnicy na czem polega zbrodnia czyli Justizmord popełniony przez krakowską izbę dyscyplinarną?

Przez zasądzenie na śmierć głodową niewinnego człowieka, z powodu choroby absolutnie nieudolnego do pracy człowieka, a któremu co najmniej należała się emerytura.

Kowalik nie jest jednak pierwszą ofiarą tego nadużycia władzy dyscyplinarnej i gwałtów jakich dopuszcza się dyrekcya krakowska na kalekach. Właśne teraz takiego samego morderstwa dokonuje się na zwrotniczym ze Zbydniowa Franciszku Krzysztoniu o którym także pisaliśmy już nie raz. Krzysztoń został także wydalony zupełnie w taki sam sposób jak Kowalik, z tym wyjątkiem że męczeństwo tego biedaka na rozkaz dyrekcyi urozmaiconem było wyrzuceniem go wraz z łóżkiem na ulicę, ze strażnicy w Zbydniowie, tak samo i zapasy spożycze wysypano na gościniec i wszystko wraz z dziećmi na otwartem polu pozostawiono, gdzie do dziś dnia nie rozkradziona część zapasów jeszcze leży. Najlepszą jednak ilustracyą tych stosunków jest rekurs przeciwko wydaleniu, jaki imieniem Krzysztonia wniósł tegoż obrońca prawny dr. Himmelblau. Przedtem atoli trzeba dodać, że dyrekcya kolejowa zabroniła dr. Himelbłaowi wglądnięcia do aktów dyscyplinarnych, utrzymując że tylko Krzysztoń sam ma do tego prawo. A więc człowiek od dwóch lat po większej części obłożnie chory, ma sobie robić wyciągi z aktów dyscyplinarnych przeważnie po niemiecku pisanych, podczas gdy sztuka czytania i pisania po polsku u takiego Krzysztonia ogranicza się zaledwie do stopnia najprymitywniejszych potrzeb życiowych, a nie do robienia notatek do użytku prawniczego zaś o znajomości języka niemieckiego ani mowy być nie może w potocznem używaniu. Krzysztoń zaś miał robić sobie wyciągi do dyscyplinarnego rekursu!? Nie ma co mówić, każdy widzi dotykalnie w jakich kołach obraca się dyscyplinarna sprawiedliwość. Wróćmy jednak do zapowiedzianego rekursu, którego brzmienie jest następujące:

„Wysoki trybunale dyscyplinarny!

Przeciw wyrokowi dyscyplinarnemu z dnia 14. listopada 1903 w przepisanym terminie, wnoszę następujące odwołanie:

Powołany wyrok dyscyplinarny, opiera się wyłącznie tylko na tej okoliczności, że podpisany w czasie od 12. grudnia 1901, aż po dzień dzisiejszy, samowolnie służby unikał, aczkolwiek tenże w tym okresie czasu, rzekomo był zupełnie zdrowym. Takie uzasadnienie powołanego wyroku, jest zupełnie niesprawiedliwem,

albowiem rozchodzi się tutaj o wypadek całkiem wyjątkowej natury. Podpisany służy przy kolei lat 23, i w czasie tym odznaczał się pilnością, wytrwałością i sumiennem wykonywaniem obowiązków, nigdy zaś przytem nie chorując.

Od 12. grudnia 1901 r., podpisany jest atoli chorym i od tego czasu nie może przyjść do zdrowia, mimo troskliwych starań całego szeregu lekarzy i specyalistów, którzy go badali, i do pełnienia służby jest zupełnie niezdolnym.

C. k. dyrekcya kolei państwowych w Krakowie, jest jednak uprzedzoną do podpisanego, uważając go za symulanta na podstawie orzeczeń banarctów dra Dumaire, dra Zolla i profesora Domańskiego. (Znowu Zoll i Domański! przyp. red.) Podpisany powołuje się na cały szereg lekarzy i na świadectwa przez nich wystawione, które przesyła w załączeniu, a przedewszystkiem na świadectwa specyalistów dra Nartowskiego i Kupczyka. Jednakowoż w tym wyjątkowym wypadku, świadectwa lekarskie są rzeczą zbyteczną, albowiem wystarczy tylko spojrzeć na podpisanego, aby być przekonanym niezbicie o jego chorobie.

Przyczyna słabości jest zupełnie rzeczą obojętną, dla postępowania dyscyplinarnego. (Całkiem słusznie, przyp. red.), albowiem rozchodzi się wyłącznie o to tylko, czy obwiniony rzeczywlście był chorym i czy jest chorym i tylko z tych przyczyn, wzbraniał się pełnić służbę, albo też nie był chorym i samowolnie służby unikał?

W danym wypadku izba dyscyplinarna, dopuściła się morderstwa (Justizmord), na podpisanym, albowiem uznała go symulantem, lubo tenże jest bardzo chorym kaleką. Atesty „banarctów“ w tej sprawie, są zupełnie obojętną rzeczą, albowiem konstatują one tylko, że podpisany nie z powodu wypadku kolejowego jest chorym. Podpisany uprasza dalej, aby wysoki trybunał dyscyplinarny, raczył go powołać do rozprawy i naocznie przekonał się, zobaczywszy go, że tenże w samej rzeczy jest chorym. Zastępca prawny podpisanego dr. Himelblau, interweniował osobiście z drem Zollem w tej sprawie, przyczem dr. Zoll, wyraził się następująco: „Krzysztoń jest chorym, **bardzo chorym**! wiem o tem bardzo dobrze, jednakowoż choroba ta nie jest następstwem wypadku z dnia 12. grudnia 1901 roku.

To przyznanie się dra Zolla dowodzi, że lekarze kolejowi są świadomi, że Krzysztoń jest ciężko chorym, jednakowoż nie z powodu wypadku, co w tej sprawie jest obojętnem, chodzi bowiem o to, czy podpisany mógł albo nie mógł pełnić służbę, a nie zaś o to dlaczego? Podpisany sam nie jest lekarzem i diagnostykiem, co do przyczyn choroby może się więc mylić i za taką pomyłkę, miałby być karanym aż najwyższym wymiarem kary t. j. wydaleniem? Po 23 latach bezkarnej służby, być w ten sposób karanym, jest to czemś potwornem, bo być zasądzonym za swą chorobę w starszym wieku w stanie zupełnie niezdolnym do zarobkowania, to znaczy tyle, co być skazanym na śmierć głodową i dlatego taki wyrok dyscyplinarny musi się uważać za morderstwo dyscyplinarne (Justizmord)“...

Franciszek Krzysztoń.

Ładny kawałek! nieprawdaż czytelnicy?

Listy z przestrzeni.

Podgórze. Najwyższy byłby już czas, abym wam doniósł coś wesołego w romantyczno-sentymentalnym rodzaju, aby cały świat cieszył się wspólnie z naszem poczciwem miasteczkiem. Niestesy, zawsze same smutne rzeczy muszę wam opowiadać. Jak ąie o patryotycznych kłopotach p. Talapki, to o morderstwach Jakubowskiego, to znowu Czekański coś zwojuje i jemu kilka wierszy trzeba poświęcić — a jakże — albo też licho nadniesie Winklera z dyrekcyi i t. d, bez końca kłopoty naszych „przyjaciół“ są naszymi kłopotami. Nic przeto romantycznego wam nie opowiem, zwłaszcza, że ludzie, około których nasz światek się obraca, to przeważnie prozaiczni piwodoje, których romantyzm dawno już wygasł przy butach i doppellitrach, pozostawiając w głowach zimne popioły, a w nogach podagrę tak dokuczliwą, że wyschłe od niej serca nie są zdolnemi do zadrgania nawet platoniczną miłością t. j. najgłupszą ze wszystkich miłości w świecie. Wobec tego jak można od tych ludzi żądać rozumnej miłości dla podwładnych, przepisanej którymś tam paragrafem pragmatyki służbowej? — Ot n. p. nasz Talapka: jedyną jego namiętnością jest: *„wyzyskać chłopa należycie“*. To znaczy, tak go sprawić gruntownie przy robocie, że chłop jak przyjdzie do domu, tak ani ziopnie i nie ruszy ręką i nogą aż do rana, a kościska go bolą jak gdyby mu je na torturach łamano. Wszelkie pisanie nie skutkuje, bo Talapka ma naturę Jackowego osła, którego trzeba za ogon ciągnąć, gdy potrzeba aby biegł naprzód i odwrotnie. Przy tem wszystkiem przydałaby się i Jackowa wyćwika dla pana Talapki i sam pan Mynarski i kontrolor Saller nie raz już rozpaczali słowami Jacka: „a niechże cię wreszcie jasny piorun trzaśnie!“. — Talapka mimo to niewzruszony robi swoje, t. j. męczy chłopów i nie trzyma się podziału służbowego, będąc chciwym na każdą minutę dłuższej pracy jak dyabeł na grzeszną duszę, albo skąpiec na pieniądze. Dlatego więc to skąpstwo Talapki pod tym względem zaczyna przechodzić w śmieszną manię, z której drwią sobie robotnicy mimo swego niepocieszonego położenia. Zachodzi obawa, że Talapka na tym punkcie sfiksuje, przeto póki czas jeszcze, należałoby go usunąć od tych obowiązków, co zaleca się szczególnie przełożonym pana oficyała

Przed tygodniem n. p. (12 grudnia) Talapka trzymał robotników na przeładowni do 12 godziny w nocy, bez żadnej potrzeby. Wie o tem kontrolor Saller, który próbował trochę żołądek p. Talapce wypucować, p. Saller musiał więc spostrzedz, że ma z waryatem do czynienia? Nieszczęśliwy fiksat żalił się płaczliwie: „Jak ja mogę tę robotę skończyć, kiedy chłopy nie dają się wyzyskać należycie, nie chcą nic robić, tylko w budzie siedzą i kawę grzeją albo papierosy palą. Noc była zimna, wszyscy robotnicy lekko ubrani, a Talapka włóczył się to za jednym, to za drugim, wołając: „pomału chłopuniu, żebyś się nie przepracował“. Wprawdzie nawoływania *Kolejarza* miały ten skutek, że tam ktoś zajrzał z dyrekcyi na przeładownię, ale cóż z tego, kiedy Talapka ani na krok nie opuści takiego gościa, z obawy, aby nie użalono się przed nim. Gość więc taki, poinformowany tylko przez Talapkę, wraca do Dyrekcyi i raportuje, że znalazł wszystko we wzorowym porządku. Podczas owej nocy (12 grudnia) dwóch robotników wniosło zażalenie do kontrolora Sallera. Na drugi dzień przywołał ich naczelnik Mynarski do siebie, besztając, że mu na kark sprowadzają kontrolorów, przyczem używał następujących epitetów: „ty łotrze, ty gałganie, dziś jeszcze wyjedziesz, dziś jeszcze cię wyrzucę“, widząc jednak, że robotnik ów jakoś złowrogo w garść pluje, pan naczelnik usunął się dyskretnie do swej kancelaryi a „chłop“ wrócił do roboty. Widocznie, że dzisiaj chłopu nie ma co bardzo dowierzać.

Turnus ułożony przez naczelnika Mynarskiego, a nad którym się pastwi Talapka, ułożonym jest na 8 partyj, z których 6 pracuje przed południem od 6 rano do 1 w południe. Od południa 3 partye idą do domu a 3 pozostaje przy pracy do 7 wieczór, tym trzem partyom popołudniowym dodaje się codziennie 2 partye rezerwowe. Otóż ten turnus jest przedmiotem eksperymentów p. Talapki, tak, że ludzie ani śniadań ani obiagów nie mają i pracują nieraz do 12-tej godziny w nocy, jak to miało miejsce dnia 12 grudnia. Dodać należy niesłychane oszustwo, że robotnikom pracującym ponad czas przepisany nie płaci się ani szeląga przezczasu, o czem również zawiadamiamy c. k. Dyrekcyę.

Wieliczka. Szeroko słynąca mieścina tutejsza z kopalni, kołtuństwa, bigoteryi i błota, musi już coraz częściej figurować w łamach *Kolejarza*, trzeba bowiem przepierać nie tylko dawniej nagromadzone tu brudy, ale i świeżo powstające i wprost dopraszające się napiętnowania.

Teraz atoli damy już spokój naczelnikowi Strzelbickiemu, który syt sławy, spoczął już na laurach, a dla odmiany zajmiemy się serdecznym jego i konowała dyrekcyjnego, dra Zolla, przyjacielem, którym jest tutejszy banarct dr Steiner, który jakkolwiek bardzo mało ma z kolejarzami do czynienia, mając z pośród nich najwyżej 2—4 pacyentów w roku, o którym mimo to niemało powiedziećby się dało.

Człowiek ten, więcej niż miernej wiedzy zawodowej i bez najmniejszych zdolności fachowych, który potrafi sam zaledwie lżejsze zranienia opatrywać, a gdy w nieco poważniejszych słabościach z reguły zwołuje konsylia, nie będąc sam siebie nigdy pewnym, zajmuje nie tylko posadę starszego lekarza przy tutejszych salinach z sutą płacą, lecz zarazem jest lekarzem kolejowym za kilkanaście koron miesięcznie i wolną kartę jazdy, a od którego kolejarze zamiast jakiejkolwiek pomocy w chorobie, znoszą tylko ustawiczne upokorzenia i ordynarne obelgi, przywykły bowiem do traktowania w ten sposób ciemnych i potulnych górników, stosuje tę metodę i do kolejarzy.

Ale przy swojej ograniczoności zawodowej i brudnej chciwości, bo jako bezdzietny i dość majętny nie gardzi i kilkunastoma koronami, niemal za darmo pobieranemi od kolei, wyrządzając tem krzywdę gorzej sytuowanym i zdolniejszym swoim kolegom, jest on w dodatku niesłychanie zarozumiałym i nie tylko o kolejarzach, lecz nawet o ludziach równych mu wykształceniem a przewyższającym go niekiedy rozumem i zdolnościami, ale nie mających, jak on, złotego kołnierza, lubi wyrażać się z największem lekceważeniem i pogardą.

Oto niedawno wyraził się on publicznie, że do bufetu w tutejszej stacyi uczęszcza sama „hołota“, pomimo, że uczestników tych nie stanowią sami kolejarze, lecz także spory zastęp tutejszej inteligencyi miejskiej.

Ale chociażby nawet uczestnikami tego bufetu byli wyłącznie sami kolejarze, to jeszcze człowiek ciągnący za darmo zyski z krwawicy tych ludzi, niema prawa nazywać ich „hołotą“, bo chyba stokroć więcej zasługuje na to miano on sam, łakomiąc się na ową płacę, której nie zasługuje, wydzierając ją swoim biedniejszym i zdolniejszym kolegom, z którychby i kolejarze mieli z pewnością większą korzyść.

Lecz czy człowiek tak małej wartości, opierający się nie na swych zdolnościach fachowych, lecz protekcyi i zaledwie umiejący innymi poniewierać, potrafi to zrozumieć, wydaje się nam więcej niż wątpliwem; otoczony opieką naszych najserdeczniejszych, będzie mógł długo nas znieważać, my zaś, w razie niemocy, będziemy musieli opłacać zdatniejszych jego kolegów.

Oprócz tego pana, mamy tu jeszcze jednego ananasa, którego sprawki koniecznie omówić należy, ale ponieważ jest to trochę za długa litania, którąby nietylko dużo czasu, ale i miejsca w *Kolejarzu* zabrała, przeto odkładamy ją do następnego numeru i życzymy tak kochanemu redaktorowi, jak i wszystkim kolegom „Wesołych świąt“.

Stary Sącz. Dyrekcya kolejowa niby to odgraża się, jak ktoś bierze szóstaki za różne grzeczności wyrządzane stronom kolejowym, ale w skrytości serca cieszy się, że żydzi personal jej utrzymują, zmniejszając przez to natarczywość personalu o poprawę bytu wołającego. Z całą grozą atoli robi ona użytek dyscyplinarny z takiego zakazu, gdy ją ktoś niezgrabnie skompromituje, albo jeżeli chodzi o funkcyonaryusza, na którego czyha mściwa prawica sprawiedliwości dyscyplinarnej za jakieś „buntownicze“ propagandy. Zresztą jest to łapownictwo uświęcone tradycyą, uprzywilejowane nędzą, a wobec płacy 350. blatów na rok wraz z długami i abzugami koniecznością, nie wywołującą bynajmniej rumieńca wstydu na twarzy. Niech się tam zresztą dyrekcya wstydzi za mnie! Otóż od czasu jak p. Ogonowski został naczelnikiem w Starym Sączu, szóstaki stały się czemś tak niesłychanie rzadkiem, jak gdyby wywędrowały z naszego miasteczka lub zaraza je wygubiła. Miałżeby Ogonowski w świętem oburzeniu zakazać stronom, aby tymi upokarzającymi datkami nie demoralizowały personalu?

Otóż rzecz ta zupełnie ma się inaczej, bo nasz p. naczelnik lubo zwie się Ogonowski, to przecież ani kobyle, ani sroce z pod ogona nie wyleciał, jak sądzono o nim w Makowie, smarując go w *Kolejarzu*. P. Ogonowski jest to geniusz, nie tracący nigdy głowy, mimo namiętnego zamiłowania w alkoholu; przeciwnie, czem więcej truje, tem więcej trzeba go podziwiać. Otóż nie innego, tylko zdolności finansowe nieocenionego pana Ogonowskiego i jego zamiłowanie do ostrzejszych napojów są przyczyną, że szóstaczki stały się białymi krukami, obrawszy sobie natomiast siedlisko w bezdennych kieszeniach pobożnego czciciela bożka Bachusa. Jakimi sposobami i jakiemi drogami zdążają one na to *rendez-vous*, napiszę kiedyś znowu przy sposobności, jeżeli nieurodzaj na szóstaczki potrwa dalej.

Tarnów. Osławiony banmistrz Pazdro żyje teraz na najlepszej stopie z inżynierem Moldauerem, którego do niedawna jeszcze uważał za głupiego *kiśpaca*. A Kiśpac ze swej strony bardzo jest łaskawym dla Pazdra, którego dawniej okrutnie prześladował, tak, że Pazdro aż mdlał, gdy ktoś zawołał: „*Kiśpac idzie!*“ Czemu przypisać tak nagłą zmianę, trudno na razie jawnie wypowiedzieć. W każdym razie nasz Pazdro tęskni do tuchowskich nawyczek, które go przyprawiły o dochodzenia dyscyplinarne i dlatego na wypadek powtórzenia się takich nieprzyjemności stara się o protektora. Bo w jednym roku mieć aż trzy dochodzenia, to nawet na nerwy takiego Pazdra trochę za wiele. Posądzano go o przypisywanie dniówek, do czego także i wizer Kawa był wmieszany, jako mający coś wiedzieć o tych krechach. Inni posądzali go o robienie brudnych długów u robotników i strażników, a nawet to mizerne masło albo jajka musiano odżałować, co ogromnie szkodliwie działa na strawność, zwłaszcza gdy przy protokóle pytają się o takie głupstwa. Gdyby tak nie kmoter Ściuk, który przed protokółem ze świadkami bardzo rozumnie i przekonywająco rozmawiał, pouczając ich, jak naga prawda ma wyglądać, toby nasz Pazdro bardzo żałośnie wyglądałby dzisiaj i, kto wie, czy byłby banmistrzem w Tarnowie, ale dzięki Ściukowi ominęły go Bernardyny i cały strach skończył się na dziesięciu kor., wobec czego opłaci się znowu puścić na nową próbę. To trzeba jednak przyznać Pazdrowi, że spólników swoich nie wyzyskiwał tak, jak Olszański w Podwołoczyskach. Zarobił Pazdro, więc i Ściuk i Miętus i Kawa i inni spólnicy coś przytem liznęli, stosownie do ich stanowiska i użyteczności. Tylko ci biedni chłopi, co kamienie ładowali, żalą się, że Pazdro ich nie płacił, chociaż Pazdro przysięgał się *Kiśpacowi*, że płacił ich „własnemi“ pieniędzmi. Więc musi to być prawda.

W niedokończonej ostatnim razem sprawie werkmistrza Kadleca, mam jeszcze coś uzupełnić, co może być, że przyczyni się do wyświetlenia tajemnicy, która wszystkie rozumy tutejsze, nie wyłączając Rysia i Kowacza, mocno intryguje. Były pucer maszynowy w ogrzewalni tarnowskiej, obecnie zamieszkały w Szczepanowie koło Tarnowa, niejaki Jan Gańcarz, „pożyczył“ sto koron Jakubowi Orżuli, starszemu przesuwaczowi wozów w Tarnowie. Orżula zaskarżony sądownie o zwrot tej kwoty, przy rozprawie cywilnej dnia 19. maja b. r. do L. cz. bb IV. 833/3 zgodził się na zwrot długu, ale w wysokości 50. koron, płatnych w dwóch ratach po 25 K: dnia 1. lipca i 11. września 1903 r., odsyłając Gańcarza po drugie 50 koron do Kadleca, utrzymując, że tenże mu te pieniądze niezawodnie zwróci. Jakie powinowactwo zachodzi tutaj z osobami i pieniędzmi — nie trudno odgadnąć.

Co do banmistrza Pazdra, to przypomniałem sobie jeszcze jedną okoliczność o tym wzorowym „służbiście“, nad którego niema banmistrza w całej Galicyi, a mianowicie: co do Wojciecha Wrony z Dąbrówki, który poszywał dach na domu pana Pazdry; dalej Karol Mróz i jego zięć Bronisław Ablewicz, Brzegowski Michał, Serafin Jakób, którzy różne prywatne roboty dla Pazdra wykonywali. Otóż wzywa się pana Pazdra, aby w jak najkrótszym czasie postarał się o to, aby ludzie ci wrócili pieniądze temu, który im płacił za roboty wykonywane dla Pazdra, a pan Pazdro za swe roboty sam niechaj zapłaci. Do tej sprawy w swoim czasie raz jeszcze wrócimy.

Maków. Przyszła kryska na Matyska, czyli przyszedł sądny dzień na ulubieńca inżyniera Michalskiego, niejakiego Jana Stanoszka, strażnika Nr. 59. W końcu buta tego awanturnika zostanie ukróconą, z czego są wszyscy radzi, albowiem złośliwy ten człowiek nikomu nie dał spokoju; najgorszym zaś był dla swoich kolegów, których wodził po sądach, oskarżał do banmistrzów i sekcyjnych. Ze Stanoszkiem ani żyd, ani dwór, ani sąsiad nie mógł wyżyć zgodnie, aż przecie przyszło mu na koniec, albowiem wyłapano go na rybołostwie w rewirze arcyksięcia Stefana z Żywca i sprawę tą, którą Stanoszek trudnił się od lat trzech, oddano sądowi w Makowie, do której ma stanąć aż 30 świadków, przyczem i różne kolejowe kawałki mają wyjść na wierzch, a między innemi i to, że kradzione łososie któryś z inżynierów w Chabówce miał zjadać, co Stanoszkowi wyra-

biało ogromną protekcyę, wbijając go w straszną zuchwałość, ktora była plagą całego sąsiedztwa na kilka kilometrów w promieniu. Nadto przed Stanoszkiem absolutnie nic nie można było kupić, albowiem chłopski ten bogacz wszystkiem handlował i wszystko kupował, jeżeli widział, że da się na tem zarobić i jeżeli miarkował, że komuś na złość zrobi.

Zdaje się, że teraz i kradzione łososie nie pomogą już Stanoszkowi i że p. Michalski będzie musiał otrzeć cichą łzę za swolm ulubieńcem i pogodzić się z myślą rozejścia się z tym drabem, który niepokoił całą okolicę.

Czortków. Należymy do ludzi niezwykłych jednę i tę samą sprawę aż do znudzenia młynkować, atoli gdy chodzi o jasność sprawy i pouczenie kolegów, naszem zdaniem znowu trzeba i dobrze znane sprawy z różnych punktów oświetlenia przedstawiać. Raz jeszcze muszę poruszyć sprawę skaleczonego w służbie konduktora Michała Klimowicza, którego wypapek jakoteż i proces w *Nowym Kolejarzu*" opisaliście dokładnie. Klimowicz do dziś dnia z wiadomego potłuczenia wylizać się nie może. Bo jakże może się wyleczyć, jeżeli nie może wykonywać zleceń swego lekarza, dra Stöckla, polecającego kalece zmianę powietrza i miejscowości na pewien czas. Klimowicz wniósł podauie do dyrekcyi z prośbą o dwumiesięczny urlop do kąpiel, dyrekcya urlopu udzieliła, nie pytając się atoli, skąd ten człowiek ma pokrywać wydatki z tego tytułu, bo wszystkiego pobiera tylko 2·67 koron dziennej renty, jako zaliczkę na rentę kosztów leczenia. Klimowicz oduiósł się do Zakładu ubezpieczeń z przedstawieniem całej sprawy, skąd do L. 319/8 U. 903 odpisano mu, że dopiero po rozprawie sądowej i dyscyplinarce wyznaczą mu stałą rentę. Są to poprostu drwiny z człowieka i z obowiązujących ustaw, jest to samowola i lekceważenie wstrząsające do głębi poczuciem sprawiedliwości, bo co wspólnego i na mocy jakich postanowień ma Zakład ubezpieczeń ze sądem karnym i dyscyplinarką? Klimowicz więc z matką staruszką przez tyle miesięcy głodem muszą przymierać, kasa zaś chorych, w której tyle pieuiędzy ten człowiek utopił na marne, nie chce go znać i ani szeląga mu nie wypłaciła bodaj tytułem jakiejś zapomogi albo zaliczki. Tak samo i palacz Hostyński z tego samego karambolu nieraz już konał prawie z głodu, tak że litościwi ludzie musieli go ratować, a Zakład ubezpieczeń dopiero w sierpniu począł mu rentę wypłacać, ale w taki sposób, że ten człowiek nie może się wyznać, jak i za co mu placą, bo raz dostał 21, drugi raz 44 zhr., słowem, placili jak sami chcieli.

Zaś dnia 1 grudnia za co i dlaczego zabrali mu całą wyasygnowaną należytość, pozostawiając mu na rękę tylko 2 korony. Hostyński choruje obłożnie, plując krwią, teraz otrzymawszy 2 kor., może się dobrze pielęgnować za takie pieniądze. Również ciekawą jest i ta okoliczność: Dnia 11 listopada sekretarz Sarat kazał przywołać Hostyńskiego, wzywając go, aby przyniósł stempel na 1 koronę, bo go musi podać do spensyonowania. Co to jest za dziwoląg albo oszustwo, niechaj c. k. Dyrekcya nad tem głębiej pomyśleć zechce i pociągnąć Sarata do odpowiedzialności. Tak samo ów luby p. Sarat nie chciał zaliczyć Hostyńskiemu i kosztów porodu dziecka, przyszłego na świat przed kilku tygodniami. Dopiero po długich staraniach wypłata tej kwoty uzyskaną została. Tak to nad groszem robotnika operują pijawki biurokratyczne.

KRONIKA.

Pożegnanie Piaseckiego kosztowało każdego z uczestników tej obłudnej szopy po 16 koron, tytułem wkładki. W uroczystości tej brało udział kilkunastu głodomorów ze sfer urzędniczych, u których w domu panuje największa nędza, jednakowoż dla pochlebstwa ludzie ci pozwolili sobie na taki lekkomyślny i wobec swych rodzin niesumienny zbytek. Teraz przed świętami biegają po woźnych, stróżach i konduktorach, błagając o „pożyczenie" kilkunastu koron na święta. Zamiest dzieciom drzewko sprawić, to nędza ta chciała zabłysnąć oszukańczą miłością do człowieka, którym pokątnie pogardzała, ale to już moralność i etyka specyalnie kolejowo-krakowska, której przedstawicielem był Piaseckí na każdym kroku, stąd też i pożegnanie inaczej wypaść nie mogło. Łabaje wmawiali się także z jakąś nową plombą, ale tym razem Piasecki za drzwi ich wyrzucił.

Odpowiedzi Redakcyi.

Czortków. Sucha, Tarnów, Stróże, Zwardoń. Z braku miejsca w następnym numerze.

Czcionkami drukarni Literackiej w Krakowie, Jagiellońska 10 — pod zarządem L. K. Górskiego.